

Z mojej loży

## Mecz Zamkow z „Nie-Boską”

Lidia Zamkow nie lubi „Nie-Boskiej Komedii”. Tak mi się przynajmniej wydaje po obejrzeniu przedstawienia „Nie-Boskiej” w warszawskim Teatrze Powszechnym w jej reżyserii (jak skromnie podaje program), a w istocie w jej inscenizacji i adaptacji. Nie jest to zbrodnia — nie lubić „Nie-Boskiej”: to dramat kontrowersyjny, namiętny w negacji, mistyczny w afirmacji, na jego temat pisał Kazimierz Wyka: „Kraśiński jest reprezentantem wstecznego nurtu w romantyzmie polskim, nurtu, który przemiany w narodzie polskim i walkę narodowowyzwoleńczą usiłował zahamować i zaciemnić w imię interesów arystokracji i reakcyjnej szlachty”. Ci i owi krytycy są innego zdania. To i dobrze, niech trwa nadal ferment wokół tego utworu, który jedni nazwali, w uniesieniu, „największym chyba dziełem europejskiego dramatu romantycznego” (Jan Wiśniewski), a drudzy, po namyśle, „genialnym kiczem” (Przyboś).

Kicz, ale genialny. Ktoś kładzie nacisk na pierwsze, ktoś inny na drugie oznaczenie. Lidia Zamkow w swoim meczu stoczonym z „Nie-Boską” opowiedziała się za określeniem pierwszym. Choć — bynajmniej nie entuzjastą tego dramatu, zaliczam punkt na niekorzyść reżyserki: 0:1.

Lidia Zamkow należy do reżyserów z pomysłami. Nie używam tego określenia w ironicznym znaczeniu. Wiele wybitnych, nawet bardzo wybitnych sztuk z repertuaru teatru romantycznego to przecież partytury sceniczne, które bez dyrygenckiego opracowania obejść się nie mogą. Nawet „Dziady” są taką partyturą. Stąd — co „Dziady”, to poniekąd inna sztuka. To samo jest z „Nie-Boską Komedią”. Lidia Zamkow znana jest z reżyserkiej odwagi — by nie rzec: zuchwałości — nie boi się autorytetów, porywa na największe. Jak swego czasu w Krakowie na „Wesele”, którym zgorszyła tradycyjistów, zgniewała większość widzów i ściągnęła na siebie gromy, wcale celne. Z „Nie-Boską Komedią” postąpiła równie bezceremonialnie, poplątała tu i ówdzie „kwestie”, a przede wszystkim skróciła utwór blisko o połowę, wyrzucając całkowicie dwie pierwsze części i kładąc cały nacisk na sprawy społeczne. Można by za ten radykalizm zaliczyć reżyserce punkt (1:1), gdyby nie fakt, że zdecydowanie zubożyła w ten sposób osobowość Hrabiego Henryka i że demaskatorski zamysł przegięła w stronę sparodiowania sztuki. Zbyt wiele własnych myśli, lęków, przeobrażeń, oskarżeń i uogólnień związał Zygmunt z Henrykiem, by wolno było przejść nad tym nonszalancko do porządku. 2:1 dla „Nie-Boskiej”.

Ale znów lepsze Zamkow zagranie. Zbudowała ona swe widowisko z dwu części: scen w obozie rewolucji i scen w obozie reakcji. Sceny w obozie Pankracego to Grand Guignol: szalejący lokaje, zakrwawieni rzeźnicy, rozpasane kobiety, orgiastyczny Leonard, torturowanie i wieszanie złego pana, striptiz zbuntowanej zakonnicy, okrutna i zbrodnicza szopka, i na tym tle zręczne rozwiązanie tak ważnego dla Kraśińskiego problemu przechrztów. Jarmark? Owszem, ale tak właśnie widział zwycięstwo rewolucji Kraśiński i bardzo mi przykro, ale muszę zaliczyć bramkę dla Zamkow. 2:2.

Sceny z Okopów Świętej Trójcy to wymowne przeciwstawienie euforii zwycięzców: trupio-grobowy obóz feudałów, świadomych swej klęski i pragnących tylko ocalenia życia za jaką bądź cenę. Tu sukces scenograficzny Andrzeja Sadowskiego i jednak 3:2 dla inscenizacji.

Bardzo ważny dla „Nie-Boskiej Komedii” jest finał, zawsze tak kłopotliwy w swoim wojującym fideizmie. U Zamkow znalazł on rozwiązanie nowatorskie: do Pankracego, snującego wizję nowego życia, dobiegają dźwięki niebiańskiej muzyki, i oto z za kulis wkacza procesja z białymi sztandarami, ludzie, zawodząc, suną na kłęczkach. Wówczas Pankracy wypowiada słynne „Galilae vicisti” — głośno, z gorzką ironią i wstydem. Jest to polemika z Kraśińskim, zjadliwe ukonkretyzowanie jego abstrakcji. 4:2 dla Zamkow. Przestraszona pesymizmem łagodzi finał dopowiadaniem słów, że myśl jednak zwycięży. W ten sposób spruła, co sama utkała. Wynik meczu — 4:3.

Może więc Zamkow wygrała, ale w nieczystym stylu. W wielkim pojedynku Hrabiego Henryka z Pankracym powinny się ścierać dwie racje, dwa światopoglądy, niejako równorzędne. W teatrze przeważnie Henryk bywa górą. W Teatrze Powszechnym wszystkie atuty zgarnia dla siebie Pankracy Leszka Herdegena, populistyczny, mocny przywódca ludu, zdolny go poprowadzić i po zwycięstwie wojuskowym. Przy nim dwie inne wyraziste postacie: Jan Jeruzal jako Przechrztą i Janusz Bukowski jako Leonard. Przeciw niemu Hrabia Henryk to mrukliwy gaduła i zobojętniały sceptyk, którego otaczają absolutne miernoty (nie wyłączając Ojca Chrzestnego). Natomiast odruchami tłumu kierują mocno zarysowani: Pierwszy z lokajów (Konrad Morawski), Pierwszy z chłopów (Franciszek Pieczka), Pierwszy z rzeźników (Krzysztof Majchrzak).

Każda kolejna inscenizacja „Nie-Boskiej Komedii” budzi od nowa spory i zaskakuje odmiennością ocen. Tak i tym razem: nowa próba polemiki z historiozofią Kraśińskiego i oto nowe różnice zdań. Czy „Nie-Boska Komedie” Lidii Zamkow jest jakimś liczącym się punktem w tak już bogatym życiu scenicznym „Nie-Boskiej Komedii” Zygmunta Kraśińskiego? Mimo wszystkich dziwactw i uproszczeń tej inscenizacji — chyba tak.

JASZCZ